

Ruta Czaplińska

A wrota do prawdy wciąż przed nami zamknięte

Niepodległość i Pamięć 4/1 (7) [1], 113-118

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ruta Czaplińska

A wrota do prawdy wciąż przed nami zamknięte

26 sierpnia 1952 roku wywieziono z Fordonu do więzienia w Inowrocławiu pierwszy transport kobiet - więźniów politycznych, zakwalifikowanych do kategorii "A". Było ich 61. Wszystkie zostały osadzone w pojedynczych celach. Budynek więzienny, stojący w centrum miasta, vis á vis kościoła garnizonowego, na biało otynkowany i otoczony również białym murem rozmieszczonych w regularnych odstępach "zwyżek" strażackich, nie budzi u mieszkańców tego miasta żadnych złowrogich skojarzeń. Tak jest dzisiaj, tak też było w owych latach, gdy czerwień ceglanych murów nie była pokryta niewinną bielą. Nikt w Inowrocławiu nie miał pojęcia, że we wnętrzu tej "instytucji" znajdują się kobiety z długoletnimi wyrokami, skazane za działalność polityczną.

Pierwsza próba zorganizowania oddziału izolacyjnego w suterrenach centralnego więzienia dla kobiet w Fordonie nie powiodła się. Trzeba było więc stworzyć osobne więzienie dla wyselekcjonowanych uprzednio kobiet. Dokonano tego w sposób zaiste perfekcyjny. Już sama architektura więzienia sprzyjała temu zamysłowi. Budynek o planie krzyża, typowych wewnętrznych schodach biegnących po środku tego ażurowego więzienia, pozwalał na bezbłędną obserwację galerijek obiegających każde piętro. Cele były dwojakiego rodzaju: większe, o lamperkach pomalowanych na brudno zielonkawy kolor i wąziutkie o lamperkach czarnych. Czerń była dominującą barwą w całym więzieniu. Nieszczelne okna w celach, przez które w zimie wpadały płatki śniegu, otwierały się uchylnie przy pomocy uwieszonego drążka. Dolne szyby zamalowane farbą olejną, a górne z grubego szkła stanowiły idealną zaporę dla oczu łaknących jakiegoś widoku. Wewnątrz celi drewniana prycza z siennikiem i zagłówkiem wypchanym słomą, która z biegiem miesięcy stawała się sieczką, nieduży stolik, obok krzeselko. Wszystkie sprzęty były przypinane do ścian. Nad stolikiem wisząca mała szafka, w jednym kącie kibel, piasek, śmietniczka, kawałek szmaty oraz wiadro na wodę, a w drugim drewniany stojak na miednicę z okrągłym otworem i owalna aluminiowa miska służąca do mycia. Obok cienka listewka drewniana z gwoździem na ręcznik. Wzdłuż dłuższej ściany, nisko przy podłodze betonowej, oczywiście czarnej, cienka rurka centralnego ogrzewania. To wszystko. Prycza, która musiała być zasłana w kant, przykryta była wytartym kocykiem. Na sienniku jedno prześcieradło, a na zagłówku poszewka. Osobiste wyposażenie więźniarki składało się z kałesonów lub bar-

chanowych majtek, koszuli na ramiączkach lub męskiej z rękawami (zależnie od szczęścia), onucy, a w zimie i z pończoch, butów na drewnianej podeszwie i o męskiej numeracji, szerszej drelichowej spódnicy oraz takiejże bluzy, która bez względu na panującą temperaturę musiała być zawsze zapięta pod szyję, a rękawy musiały być opuszczone. Na zimę dawano jeszcze rodzaj kaftanika ongiś flanelowego. Do mycia służył jeden ręcznik. Bieliznę i ręcznik zmieniano co dwa tygodnie przy okazji łaźni. W łaźni dawano maleńki kawałek mydła, mniejszy niż połowa pudełka od zapatek. To mydło musiało wystarczyć na dwa tygodnie do następnej łaźni. Z osobistych rzeczy można było mieć jedną chustkę do nosa, szczoteczkę do zębów, proszek do zębów (jeśli się go miało, bo pastę i mydło odbierano po przyjeździe) oraz szczoteczkę do paznokci. Aluminiowa miska i łyżka służyły do jedzenia. Kubków nie dawano.

Doskonała akustyka więzienia sprawiała, że długi czas nie można się było zorientować w dochodzących odgłosach, skąd pochodzą. Czy drzwi otwierają się obok, na przeciwko, piętro wyżej, czy też niżej?

Inaczej niż w innych więzieniach do celi nie dawano nigdy igły, żeby pocerować podarte pończochy, ani nożyczek, żeby obciąć paznokcie. Pończochy trzeba było oddawać do naprawy i z gołymi nogami czekać nieraz przez dwa tygodnie. Trzeba było więc sobie radzić inaczej, według własnego pomysłu. Dopiero po wielu miesiącach zaczęto dawać do łaźni olbrzymie nożyce i wtedy czekając na swoją kolejkę można było obciąć sobie paznokcie.

Przy każdorazowym otwarciu drzwi celi należało szybko podbiec do okna, stanąć na baczność i zameldować się otwierającemu stosownie do jego rangi, dodając numer celi i sakramentalne "więźniarka jedna". To były jedyne słowa wymawiane w ciągu dnia. Na spacer wyprowadzano kolejne cele, czyli pojedyncze więźniarki. Odywało się to w ten sposób, że pierwsza szła bezpośrednio na maleńkie, wysypane czarnym żużlem podwórko i po zrobieniu 2-3 okrążeń wracała do celi. Następna była sprowadzana do łaźni, gdy pierwsza była na spacerze, a wypuszczana na spacer, gdy poprzedniczka szła tyłem odwrócona po schodach. I w tej kolejności wszystkie były wyprowadzane na spacer. Gdy tak się szło, mając zawsze za sobą oddziałowego i spotkało się jakiegoś funkcjonariusza (od oddziałowego wzwyż) trzeba było stanąć: "Oddać mu honory", czyli złączyć stopy i głośno stuknąć obcasami drewniaków. Kiedyś to przeoczyłam. Wtedy oddziałowy kazał mi stanąć i zapytał: "Czy wiecie co macie zrobić? Ja milczę. Na to on: "Zawróćcie się (parę schodków pod górę) i zajdźcie". Bez efektu. I tak wchodziłam i schodziłam, aż mu się znudziło, ale zacięłam się i honorów nie oddałam. Jedną z cech wyróżniających więzienie w Inowrocławiu była funkcja blokowych - nie stosowana poza nim, a kojarząca się z dobrze znanymi funkcjami blokowych w niemieckich kacetach.

Pobudka ranna była obwieszczana trzykrotnym dźwiękiem gongu. Należało natychmiast wstać, bo zaraz otwierały się drzwi i zabierało się wystawioną na noc kostkę, to znaczy: drelich, onuce, pończochy, drewniaki, miskę, łyżkę i ręcznik. Trzeba było się pośpiesznie ubierać, zastać pryczę nadając jej przepisowy kant i stanąć pod oknem na poranny apel. Pomiedzy apelem i śniadaniem był czas na umycie się. Oczywiście w zimnej wodzie i ostrożnie manipulując mydłem, aby go wystarczyło. Szczotka do paznokci, jeśli się ją miało, ułatwiała dobre wyszorowanie całego ciała, a ponadto rozgrzewała. Cele w chwili naszego przybycia były wyziębione, chyba długo nie zamieszkałe, a sezon grzewczy był wyznaczony datami, a nie temperaturą panującą na dwo-

rze. Trzeba było więc marznąć cały czas, bo i w sezonie grzewczym cienka, ledwo ciepła rurka, nie mogła ogrzać pomieszczenia.

Na śniadanie była kawa, wlewana do miski, chleb, czasem z dokładką przymocowaną patyczkiem (bo teoretycznie porcje były ważone), ale częściej tylko z dziurką po nim, czasem dawano małe kawałeczki margaryny, a czasem dzwonko surowego, solonego śledzia. Jakaś większa ość wypatrzona w tym dzwonku, służyła potem za igłę. Taką igłą i wyciągniętą ze szmaty do podłogi nitką, można było pocerować sobie dziurawe pończochy.

Po śniadaniu należało zabrać się do sprzątan. Starannie wycierać wszelki możliwy kurz, nawet z bardzo trudno dostępnych miejsc, wytrzeć betonową podłogę na mokro, wypolerować brudnym piaskiem miednicę, której nie można było użyć w ciągu dnia, gdyż musiała się błyszczeć, oraz wypolerować tymże piaskiem wszystko, co było w celi metalowego. Otwierają się drzwi, wystawiało się kibel, który po wylaniu miał być teoretycznie wypłukany przez korytarzowe, a po jego wstawieniu trzeba go było dokładnie wyczyścić wewnątrz piaskiem. Piasek był jedynym, a zatem najważniejszym środkiem czystości, jaki był do dyspozycji więźnia w Inowrocławiu. Kibel - po wyczyszczeniu musiał być bardzo ostrożnie używany, gdyż przy zetknięciu z wilgocią na jego wewnętrznych ściankach tworzyły się całe grona czerwonej rdzy, a zatem kibel - w opinii oddziałowych - był brudny i można było z tego powodu trafić do karca.

Czas pozostały można było wypełnić chodzeniem po celi, z tym że należało chodzić cicho w tych ogromnych drewniakach, gdyż inaczej je zabierano i przez resztę dnia pozostawało się boso. Umiejętność cichego chodzenia każda zdobywała swoim własnym sposobem, ale nie każdej i nie zawsze się to udawało. Przy wyprowadzaniu z celi na spacer można było zauważyć stojące przed jedną czy kilkoma celami drewniaki i już się wiedziało, co to znaczy.

Utrzymywanie higieny osobistej było bardzo trudne. Papier toaletowy, o ile go w ogóle dano, był wyliczony: 6 listków miało wystarczyć na tydzień. Jakiś kawałek szmatki, suszony po spłukaniu, musiał uzupełniać te braki. Jeszcze gorzej było z zaopatrzeniem w watę czy ligninę. A jeśli już było, to nie można było nic wrzucać do kibla, ale wystawiać przed celę na śmietniczkę, stwarzając dodatkowe poniżenie naszej godności.

Lekarz. Nominalnie był, ale nie leczył. Jak się później okazało, więźniowie kategorii "A" nie mieli praw do leczenia. Ten gorliwy lekarz, który zgłaszając się pacjentkę oglądał tylko z głębi swego fotela i nawet jej nie dotknął, został szczęśliwie zmieniony po roku. Zastąpił go inny, młody, który wyratował od śmierci przynajmniej dwie nasze koleżanki. Nie bał się postawić na swoim i spowodować transport jednej na leczenie i operację do szpitala w Grudziądzu, a uzyskanie przerwy w wykonaniu wyroku dla drugiej. Nie zapamiętałam jego nazwiska, gdy spotkałam go w Inowrocławiu w październiku ubiegłego roku, przy okazji poświęcenia tablicy pamiątkowej na murach więzienia. Zasłużył on w pełni na naszą wdzięczność.

Obiad, na który się z wytęsknieniem czekało, składał się z litra zazwyczaj bardzo rzadkiej zupy, w której pływały kawałki ziemniaków lub ziarenka grochu czy fasoli, łatwych do policzenia, albo z tak zwanego krupniku. W tym wypadku porcja była prawie o połowę mniejsza, gdyż cała duża reszta pozostawała na chochli. Wszystkie posiłki odbierało się z taboretu, stojącego przed każdą celą, kiedy korytarzowe rozpoznające je były już poza zasięgiem wzroku. Na kolację była taka sama zupa, ale porcja

była o połowę mniejsza - tylko pół litra. Zjadało się wszystko, zawsze z niezaspokojonym uczuciem głodu. Chleb, wydawany rano, musiał wystarczyć na cały dzień. Głód był naszym nieodłącznym towarzyszem. Nie odstępował nas ani w dzień ani w nocy, gdy nawet przez sen nie udawało się spróbować ani kawałeczka chleba, bo zawsze w jakiś sposób był niedostępny.

Wieczorny apel i zaraz potem wystawianie na noc kostki wiązały się znowu z wielkim pośpiechem i nieodłącznym stresem - żeby zdążyć. Kostkę wystawiało się na boso i z brudnymi nogami szło się spać, tworząc z siennikowej sieczki ochronny wałek pod plecy i składając przemyślnie kocyk, żeby uzyskać możliwie największą część podwójnej jego warstwy dającej złudzenie ciepła. Ale i tak, zarówno w nocy jak i w dzień trzeba było rozcierać całe ciało lub zabijać rękami po dorożkarsku chodząc po celi. Sen, w którym jakże często przebywało się z ukochanymi, był zawsze przerywany zimnem i światłem kilkakrotnie zapalonym przez dyżurujące oddziały.

Więźniarki z pierwszego transportu w trzy tygodnie po przyjeździe otrzymały kartki pocztowe, na których należało napisać: "Nie piszcie, nie przyjeżdżajcie, dopóki sama was nie zawiadomię" i nic więcej, ani słowa, tylko podpis. Nie było więc listów, widzeń, ani wypisek przez wiele miesięcy. Czy można by wymyśleć jeszcze doskonalszą izolację? Pierwsze listy z domu, z datą o kilka miesięcy wcześniejszą, dotarły do adresatek w początkach marca 1953 roku, a niedługo potem można było napisać pierwszy list i oczekiwać na widzenie. Najcięższy okres należał już do przeszłości. Ten całkowity brak kontaktu i wiadomości o najbliższych był dużo cięższy od wszystkich obowiązujących nadal rygorów, fizycznego udrczenia zimnem i głodem, ogólnego wyczerpania, a często i choroby.

Po 13 miesiącach samotności przeniesiono nas do wspólnych cel, gdzie siedziało się już we trójkę, ale nadal obowiązywała ścisła izolacja od przebywających w innych celach koleżanek. Tak było w pierwszym transporcie. Były oczywiście między nami pewne różnice w przeżywaniu osamotnienia. Niektóre znosiły je lepiej, inne gorzej. Jedne płakała na głos, mówiły do siebie, w nocy reagowały na zapalone światło, a inne nie uzewnętrzniały się zupełnie, nie używały głosu, nie reagowały na światło. Jedne nawiązywały natychmiast kontakt przez ścianę i nie odczuwały już tak bardzo samotności, często ryzykując pobytem w karcu, inne nie umiały się rozeznać w otaczających odgłosach i albo nie stukały wcale, albo nawiązywały ten kontakt znacznie później. Jedne chorowały, inne zachowywały niezłą, jak na te warunki, formę. Ale wszystkim stworzono jednakową egzystencję.

W tej sytuacji trudno jest uogólniać pobyt w więzieniu inowrocławskim. Do tej pory zbyt mało jest wiadomości o innych, późniejszych transportach. Całkowite odizolowanie sprawiło, że dopiero teraz ujawniają się pewne szczegóły i istotne różnice. Niedawno, na przykład, dowiedziałam się, że koleżanka z transportu warszawskiego siedziała w bardzo małej czarnej celi. Nie pozwolono jej na dzień przypinać do ściany ani pryczy, ani stolika i całe dnie musiała spędzać siedząc na gołych deskach pryczy, bo siennik musiał oczywiście być odsunięty na bok, zatem bez możliwości chodzenia po celi. A chodzenie po celi było czymś niesłychanie istotnym w naszym życiu. Z trudem przeciskała się do okna, gdy otwierano drzwi i musiała się zameldować. Od koleżanki z innego transportu (z Wrocławia) ze zdumieniem dowiedziałam się, że gdy je prowadzono na spacer w zimie, to w łaźni były kurtki, które wtedy kładły na siebie. Koleżanki, które przywożono późniejszymi transportami albo nie siedziały wcale w pojedynczych celach, albo znacznie krócej, niż te przywiezione 26 sierpnia 1952

roku. Takich różnic jest na pewno znacznie więcej, ale my po prostu o nich nie wiemy, bo każdej z nas wydaje się, że inne siedziały w tych samych warunkach, co ona sama. Stąd stoi przed nami mnóstwo niewiadomych. Przede wszystkim dotąd nie wiemy, ile kobiet ogółem było więzionych w latach 1952-1955, to jest wtedy, gdy Inowrocław był więzieniem izolacyjnym. Według naszych, bardzo prowizorycznych szacunków, było nas najwyżej 150, a doliczyliśmy się 116 nie mając jednak pewności, czy wszystkie te koleżanki były rzeczywiście w Inowrocławiu. Nie wiemy też, ile było ogółem transportów, w jakich datach się one odbywały i skąd. Chcemy znać nazwiska wszystkich koleżanek, okresy ich pobytu w Inowrocławiu, wiedzieć skąd je przywieziono. Chcemy też znać liczbę i nazwiska zmarłych koleżanek. Do tej pory wiemy tylko, że zmarła nasza koleżanka z pierwszego transportu - Maryjka Kolska oraz, że popełniły samobójstwo: Irena Kotulska i Maria Filemonowicz. A ile koleżanek załamało się psychicznie? Ile zostało przewiezionych do szpitala w Grudziądzu? Ile ewentualnie wyszło na przerwę w wykonaniu kary? Te pytania nie przestaną nas nurtować. Okazuje się, że o tej garstce starannie wyselekcjonowanych więźniarek politycznych nie mamy dotąd prawa niczego się dowiedzieć. Wszelkie zapytania pozostają albo bez odpowiedzi, albo dowiadujemy się, że akta zostały zniszczone, bądź że ich w ogóle nie ma, albo nie wiadomo, gdzie ich szukać. I tak, w wolnej, niepodległej i suwerennej Polsce bramy do tej prostej, a tak ważnej dla nas prawdy, są przed nami wciąż zamknięte! Jak zestawzić ten fakt ze zwiększającymi się wciąż informacjami dotyczącymi losów osób więzionych, straconych i zesłanych w głąb byłego Związku Radzieckiego, otrzymywanych zarówno ze źródeł oficjalnych jak i dzięki ludziom zaangażowanym w Memoriale? To chyba nie wymaga już żadnego komentarza. Pozostaje tylko wielki ból i żal do instytucji zajmujących się tymi sprawami za ukrywanie PRAWDY. Jeszcze istnieje tylko nikła nadzieja, że nasze pytania zostaną wreszcie usłyszane, że przebiją się kiedyś przez mury obojętności a może nawet i obawy? A *"Najgorsza nawet prawda - jak mówi Norwid - jeśli jest prawdą, niesie ze sobą jakiś zaród wyzwolenia."*



Ruta Czaplińska, fotografia więzienna

Foron, dnia 20.VII.1951 r.

O P I N I A

Wieżien karnej Czaplińska Ruta c, Tadeusza, urodzona 10.IX.1918 r.. Przebywa w tut. więzieniu o dnia 1.X.1948 r. gdzie odbywa 10-Lat więzienia kary, za przestępstwo z art: 86. KKWP. Zaliczona do grupy "A"

W więzieniu jako więźniarka zachowuje się dobrze, starannie wykonywać wszystkie polecenia władz zwierzchnich. Na celi otacza się więźniami przeważnie o średnim wykształceniu. Interesuje się powierzchownie czytaniem książek o treści politycznej. Jest więźniem skrytym i nie zależy jej na wczesniejszym wyjściu z więzienia, twierdzi, że walczyła za sprawą i może cały wyrok odsiedzieć. Specjalnie wrogich wypowiedzi nie stwierdzono, ażeby agitowała pomiędzy więźniami. Obecnie nie pracuje i przebywa na oddziale izolacyjnym.

Jest pochodzenia obszarniczego, posiada wykształcenie średnie.

Z-ca Naczelnika

Naczelnik Więzienia
w Foronie.